

Wychodzą we Wto-
rek, Czwartek i Sobo-
tę we Lwowie prenu-
merala roczna 6 Złr. —
półroczna 3 Złr. — kwar-
talna 1 Złr. 30 kr. —
miesięczna 30 kr. m. k.
W kraju z przesyłką po-
cztową rocznie 8 Złr. —
półrocznie 4 Złr. — kwar-
talnie 2 Złr. m. k.

NOWINY

ogłoszenia wszelkie go-
rodzaju przyjmują się za
opłatą od wiersza piś-
mem pęty w przedział-
ce za jednorazowe umie-
szczenie po 3 kr., za na-
stęp po 1½ kr. i za do-
płatą 10 kr. stępl. za każ-
dorazowe umieszczenie.
Biuro ekspedycji w księ-
garni H. W. Kallenbacha.

DZIWO - ŻONA.

Powieść społeczna

przez

Zygmunta Haczkowskiego.

V.

(Ciąg dalszy).

Noc była bardzo pogodna i księżyc obfitemi promienia-
mi rozlewał swoje srebrne blaski po ziemi, więc nie tru-
dno było panu Dominikowi trafić do owej bramy palaco-
wej, na której łuku błyszczały w wypukło-rzeźbie dwa her-
by szlacheckie. Pod tą bramą zastał owego białowłosego
staruszkę, który siedząc na swoim kamieniu i przesuwając
w rękach brunatnego różańca kaliwa, patrzył w pogodne
niebo i odmawiał basowym szeptem pacierze.

— Niech będzie pochwalony, — rzekł do niego Sie-
niawski, — a czy jest u siebie pan hrabia?

— Jest panie, — odpowiedział staruszek a poznaw-
szy pana Dominika, dodał: — a! to pan z naprzeciwnika!
oj! jest panie, jest i przyjmuje dziś wszystkich.

— I nie śpi jeszcze?

— Spać? — zapytał z zdziwieniem staruszek, — a
tóż-to u nas dzień się dopiero zaczyna... ale jegomość wi-
dzą nie nie wie... *Chleba naszego powszedniego daj nam dzi-
siaj...* niech jegomość idzie wprost do wielkiej komnaty...
Ł odpuść nam nasze winy, jako my odpuszczamy... i mówił
dalej swoje pacierze staruszek.

Chwilę jeszcze stał pan Sieniawski, usiłując sobie wy-
tłumaczyć, co-by miały znaczyć te niezrozumiałe słowa sta-
rego odźwiernego, lecz widząc, że starzec znowu oczy po-
dniósł ku niebu i skończywszy ojcze nasz, począł Zdrowaś
Marya i na stojącego przed sobą gościa żadnej nie zwracał
uwagi, machnął laską, poprawił kapelusz na głowie i
posunął prosto ku drzwiom otwartym pałacu, przez które
widać było się oświeconą tak jasno, że zdawała się pło-
nać od światła.

Tymczasem stary odźwierny miał słuszość zupełną, —
mówiąc że u nas teraz dzień się dopiero zaczyna. Pan
Edmund bowiem od czasu śmierci swej babki zmienił tryb
życia zupełnie. Przychodził on wprawdzie pomału do te-
go, ale teraz stał już u samego szczytu swojej metamor-
fozy. Więc z pilnego i pracowitego studenta stał się ka-
walerem-paniczem po wszelkiej formie. Dzień w noc za-
mieniał a z nocy zrobił dzień sztuczny. Jak pierwszej godzi-
ny rozrywkę wykradał, ażeby je pracy poświęcać, tak

teraz wypędził precz pracę od siebie i wszystkie godziny
oddął rozrywkom; wrzący zapal duszy przeprowadził w
krew i organizm fizyczny, żądę sławy przerobił w żądę
użycia a excentryczność dążeń moralnych zamienił w ex-
centryczność rozpusty. Bo u Polaków tak! Brzydzą się
oni wszelką miarą, jak się ich pradziadowie łokciem i miar-
ką brzydzili, i nie umieją nigdy iść środkiem. Wstąpić do
wojska, to na to, ażeby zostać hetmanem; — wnieść się
do czego, to stanąć na czele, — marzyć, to szaleń-
stwa, — pić, do upadłego, — zgrać się, to do koszuli, —
a wleść w błoto, to po same uszy. Otóż tak było także
z Edmundem.

Dzisiaj dawał on wielki bankiet dla swoich przyjaciół
i przyjaciółek.

Więc owa wielka komnata, w której za starościny nie-
boszczki nigdy więcej nie płonęło jak dwie świece woskowe i
co sobotę lampa oliwna przed Matki Boskiej obrazem, by-
ła teraz oświecona *à giorno*. Wielki pajak, do słońca po-
dobny, rozlewał prawdziwie słoneczne promienie na całą
komnatę a po ścianach mnogie jarzyły się rewerbera, po-
dwajając swe światła w zwierciadłach. Na środku komnaty
stał stół wielki obdłużny, zastawiony mnóstwem waz i pół-
misków, niedaleko od brzegów stały wieńcem do koła cie-
mno-zielone butelki ze srebrnymi główkami, inne w gru-
pach ściśnionych wyglądały osmolonemi głowami z pomię-
dzy piramid owoców i cukrów, a na środku stała wielka
waza srebrna, okrażona dokoła jasno niebieskim płomieniem
z kipiącą wewnątrz jak piekło i buchającą gęstymi kłęba-
mi pary, roznoszącej woń spirytusu, pomarańcz i wina. I
nęcający widok musiał mieć stół ten, nim goście do niego
zasiedli. — Lecz teraz większa część półmisków już była
próżna, mnóstwo butelek leżało bez ducha na poplamio-
nym obrusie, skórki i pestki z owoców pomieszane z okru-
szynami cukrów i kośćmi wałyły się koło talerzów, których
brzegi były ugaρνiowane kupkami popiołów z sygarów.

Koło stołu siedziało jeszcze kilka figur kończących lub
zaczynających na nowo biesiadę.

Więc najpierwej pan Edmund, z twarzą krwawemi o-
blaną rumieńcami, ze spieczonemi gorączką ustami i w
dziwnie fantastyczny nieład rozrzuconemi włosami. Cały u-
bior jego, chociaż nowiuteńki i najświeższym krojem zro-
biony, był również w nieładzie a po prostu mówiąc, jak
psu z gardła wyjęty. I on sam nawet zdawał się być w
jakimś dziwnym rozstrojeniu wewnętrznym. Wpoiwszy bo-

wiem całą rękę w swoją rozrzuconą fryzurę i oparłszy głowę na dłoni, patrzył nieruchomie w kwiaty obrusa a w jego oczach zdawały się dogorywać jakiegoś dzikiego ognia popioły. Tuż obok niego siedziała młoda, smukła i piękna brunetka, która trzymając lewą rękę na jego ramieniu, starała się zajrzeć mu w oczy i zdawała się pytać jego: Cemuś ty tak smutny Edmundzie? — Piękność ta była to Lora, prima-donna niemieckiego teatru, pierwsza z kolei przyjaciółka Edmunda. Miała niebieski morowy szlafroczek na sobie, białymi koronkami obsyty, kołnierzyki stojące i amarantową krawatkę na szyi, w fantastyczny fontaż związaną; — grała zapewne dziś cnotliwą lwicę w teatrze. O podał od Edmunda siedział trzydziesto i kilku-letni pan Karol. Ten był łysy i trochę dzióbaty, nosk miał mały zadarty, był pijany pod miarę i śmiał się ustawicznie i gadał. — Obok niego siedziała potężnej tuszy lecz młoda przytem blondynka, która miała wieniec z róż białych na głowie i twarz ocienioną rozpuszczonymi jak batogi lokami, suknię białą wygorsowaną nad wszelkie pojęcie, karmazynowe rumieńce na twarzy, nazywała się Tony i śpiewała drugie partye w operze. Ci państwo oboje byli bokiem obróceniu do stołu, mieli w rękach widelce i śmiejąc się ustawicznie, karmili się wzajemnie strasburskim pasztetem.

Trochę dalej za nimi siedziała trzydziesto kilku-letnia Wirginia, wyróżzowana starannie przed bankietem, lecz teraz ta piękna ozdoba stopniała w cieple i dymie, i polała się ciemnymi pręgami po obudwóch policzkach, tak że jej fizjonomia wyglądała jak twarz szermierza, zakryta maską z pręgów stalowych złożoną. Śmiano się z niej i przycinano jej z różnych kątów komnaty, ale ona ani się oglądała ani odpowiadała, tylko mając kuropatkę na jednym a trufie na drugim talerzu przed sobą, zjadała ze smakiem, wychylając od czasu do czasu kieliszek madery. Ta kobieta widać już wolną była od płochy dziewczęcej i miała sens w głowie praktyczny.

Obok niej o dwa kroki siedział młodziutki, zaledwie ośmnasto-letni blondynek. Ten miał twarz, tak dziwnie zmieszana, że się przez jej cerę srebrzystą i delikatną przebijały wszystkie możliwe kolory, od żółtości gumigutty począwszy, przez krwawą czerwoność aż do ciemności stalowej, którą miał dwa, różkami do góry obrócone, półksiężce pod oczyma wymalowane. Włosy jego tak były wilgotne, że zwiesiwszy się w strzeplach po obudwu stronach twarzy, wyglądały jak strzecha wśród słoty; na czole błyszczały gęste krople potu jak gdyby rosa na liściach łopucha, oczy jego były w słup obrócone a usta tak zdrętwiały i zesiniały, jak gdyby podczas paroxyzmu konwulsji. Trzymał on obydwie ręce na krzyż złożone na stole i na nich miał oparte swe czoło, czasem je tylko podnosząc do góry i zaczerpując powietrza. Na tego zwyciężonego rycerza od chwili do chwili spoglądała z dziwnie obojętnym uśmiechem Wirginia i mówiła z ironią:

— *Nun was ist dir mein Kind?... Jetzt kriegt mir der ein Katsenjammer!...*

Lecz prócz tych było w komnacie jeszcze więcej gości.

Na sofce axamitnej, przy kominie stojącej, leżał przeciągnięty przez nią kolosalnej budowy Spicimir. Był on zbudowany jak olbrzym, twarz miał spokojną i pod samą miarę tylko zarumienioną, w której zamiast pomieszaną przebiegała się owszem jakaś duma wyniosła, w jego oczach błyszczały także niby jakieś tryumfujące blaski a jego potężna prawica podnosiła się co chwila ku twarzy i pokręcała zwolna wasy sumiaste i czarne jak węgiel. — Całość zaś tego wszystkiego przedstawiała niby rycerza, który rozbijwszy tłum nieprzyjaciół, zwycięski oręż schował z dumą do pochwy i odpoczywał po pracy. Za to też obok niego w fotelu siedziała z główką smutnie opuszczoną ku ziemi malutka Zizina. Miała ona pasową rutkę tylko po kolana sukienkę na sobie, taką w jakiej zwykły baletniczki występować na scenę, na nóżkach miała coś naksztalt trykotów, do niepoznania naśladowujących naturę, a na głowie dwie róże czerwone, ostatnie które jeszcze pozostały z całego róż wienca, trzymając się silnie okalającej jej głowę zawiaski i przypominając dwa jabłka zimowe, trzymające się jeszcze na drzewie o późnej jesieni. Oparła ona łokieć prawej ręki o poręcz fotelu a na rękę oparła wybladłą twarzyczkę, wdychając co chwila z głębi piersi i poglądając na owego młodziutkiego blondynka okiem szczerzej i rzewnej sympatii. Tak to zawsze kłęski łączy serca ludzkie ze sobą.

Na przeciwko osmuconej Ziziny siedział głęboko w fotelu wgnieciony, siwy już i dobrze przygarbiony staruszek; pomimo to wszakże miał on wąsik przystrzyżony misternie i wyczerniony jak węgiel, czuprynę podfarbowaną, okularami zakrywał zmarszczki około oczów i ubrany był starannie i modnie. Na jego kolanie kołysała się, jak mysz popielata, i szczebiotliwa jak srocza, Francuzka, która gładząc swego przyjaciela po twarzy i pokręcając jego wąsiki, opisywała mu piękność jakiegoś szalu kaszmirowego, który widziała u Glixellego.

W innym kącie salonu siedziała znów inna para. Mały a dowcipny Jeremi kłęczał tam u nóg jakiejś słusznej i pulchnej brunetki. Pani ta miała włos czarny jak heban, oko pełne wulkanicznych płomieni, twarz smagłą, obdłużną, zupełnie orientálną. Była to przejeżdżająca dama wielkiego świata moldawskiego, którą Jeremek wyszpiegował w hotelu, zabrał z nią prędko znajomość i przywiódł ze sobą na kawalerską biesiadę. Moldawianka była anszantowana tym tak oryginalnym i tak swobodnym wieczorem, śmiała się ustawicznie i plotła duby smalone, wynosząc pod niebiosą Lwów, Wiedeń i Paryż a psy wieszając na wszystkie Wołoszczyzny, Moldawie i Bessarabie. Ale Jeremek widać innego był zdania, usiłował on bowiem koniecznie swoją Donnę namówić, ażeby już zaraz jutro

wzięła pocztę i dalej ruszała, dowodząc przytem dość jasno, że Galicya graniczy z Moldawią i że plotki z nadzwyczajną szybkością przebiegają ze Lwowa do Jass i Bukaresztu. Wszakże Moldawianka śmiała się tylko tem głosem, mówiąc z dziwną energią:

— *Je me moque pas mal de vos commérages! mon mari est sourd comme un pot! et d'ailleurs il est grec et ne croit pas aux nouvelles apportées par les catholiques.*

— *Mais Madame! elles lui seront un jour rapportées par les grecs!*

Przy fortepianie siedziała znów jakaś śpiewaczka i uderzając gwałtownie w klawisze, śpiewała przytem jakąś aryę bachancką; za nią z tyłu stał jakiś tłusty jegomość z szklanką dymiącego ponczu w rękach i wtórował jej basem niezgrabnym.

Inne pary kręciły się tu i owdzie po komnacie i to śpiewając, to tańcząc w okół, to śmiejąc się do rozpuku, gubili się w przybocznych pokojach, które oświetlone, to czerwonymi, to szafirowymi na pół ciemnymi lampami, wyglądały w tem świetle, to jak paszcze gorejącego piekła, to jak groty napelnione niebios błękitem. — Osoby tam wpadające zdawały się być czarownikami, zamieniającymi się w oka mgnieniu w duchy podziemne lub napowietrzne. Tak szybko pod temi światłami zmieniały się ich postacie! — Te zaś, które się przechodziły po komnacie, podobne były ceniom umarłych, błądzącym nad brzegami płomienistego Flegetonu i oglądającym się za sferami niewidomego Olimpu.

Nad tem wszystkim podnosiła się gęsta mgła, złożona z wywietrzalnych pachnideł, tytuniowego dymu i pary ponczowej. Tę mgłę przeszywały od chwili do chwili krople roztopionego wosku, zlewające się ze świec topniejących w tej atmosferze gorącej, tu i ówdzie jeszcze widać było ruch jakiś namiętny, wydatny, tam zagrzmiał głos jakiś szalony lub zaszeleścił pisk przenikliwy a ówdzie brzęknął talerz, zaszumiał szampan, lub wystrzeliła wywrócona przez nieuwagę butelka.

— Czemuś ty taki smutny Edmundzie? — ośmieliła się nareszcie głośno zapytać Lora, widząc że nie zdoła przemówić wzrokiem do swego kochanka.

— Czemu ja smutany? — powtórzył Edmund, pocierając się ręką po czole, — a umiesz ty po łacinie?

— Cha, cha, cha! i cóż za pytanie!

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się jakiś głos męski, bo w języku łacińskim jest wyraz *animal* którego oznacza zwierzę i jeszcze drugi jest wyraz...

— A to co takiego? — zapytał siadając prosto na sofie Spicimir.

— Co? nie! hej! moi panowie! a gdzieżecie się po rozbiegali! czy to już koniec bankietu? waza kipi, butelki się proszą, pijmyż więc i hulajmy! bo kto wie...

— Cóż kto wie?

— Kto wie czy jutro, lub kiedykolwiek... ale co tam! hej! chodźcie do trzech kroć stu tysięcy...

To mówiąc, odrzucił trzonkiem noża szyjkę jednej butelki a nalawszy z niej szumiącego płynu do krystalowej szklancy, podniósł ją w górę i wołał:

— Za zdrowie tych, którzy... i do kogóż pić będę? czy nikt się nie zgłosi?...

— Pij do mnie, mój drogi, — odpowiedziała mu Lora obejmując śnieżnej białości ramieniem jego kibić wysmukłą; lecz on odrzucił jej ramię, i odpowiedział z niechęcią:

— Ej! nudni jesteście i... niech was!...

To mówiąc, już usiadał na powrót i chciał szklankę nie wypitą postawić na stole, kiedy w tej chwili pomiędzy kotary, zawieszone przed drzwiami, wsunął się stary Sieniawski do napelnionej mgłą i światłem komnaty. Przeszedłszy on pomiędzy pochyłające się przed nim głowy lokajów przez przedpokoje, zatrzymał się tuż niedaleko odedrzwii i trzymając kapelusz w ręku, miał zamiar się kłaniać i za swoją śmiałość przeproszać: lecz obaczywszy to, co się działo w komnacie a zapewne jeszcze o wiele więcej, niżeli myśmy mogli opisać, rzucił się w tył z przerażeniem i zawołał:

— Wszelki duch chwali pana Boga!

Atoli rzucając się w tył z gwałtownością, uderzył plecyma o stojącą w tym kącie kolumnę, na której stał wielki zegar porcelanowy, krystalową kloszą nakryty. I cały ten sprzęt upadł z łoskotem na ziemię i podruzgotał się w drobne kawałki. A że kolumną była wydęta z gipsu i wewnątrz piaskiem dla ciężkości nadziana, więc podniosła się ztąd ogromna chmura biaława, z której jak gdyby z upadłego na ziemię obłoku, wyskoczył na środek komnaty drugi raz przestraszony staruszek. (D. c. n.)

KSIĄDZ JACEK.

Gawęda klasztorna.

Dla czego się szatan dziś policzków boi,
I odkąd? w klasztornych księgach tak to stoi:

W konwencie Bernarda żył zakonnik siwy,
Na imię mu było Jacek światobliwy.
Prawdę powiedziawszy, zasłużył to miano,
I pod tem imieniem na świecie go znano.
Usłużny, wesoły, dawniej był kwestarzem,
Potem księdzem mszalnym, na starość szafarzem.
Gdy przeor wyjechał, lub był kiedy chorym,
Ksiądz Jacek za niego zarządzał klasztorem.
Znał tajne recepta na różne przysmaczki,
Był preparatorem klasztornej tabaczki.
Znał sekret wyborny, słodki miodek sycić,
Z którym i przed królem mógł być się poszczycić.
Raz miodkiem niewinnie oszukał Węgrzyna,
Co pijąc go, wołał: „Zkąd te przednie wina?“
Uśmiechnął się Jacek, głaskał za podbrodek,

I ledwie przekonał, że to polski miodek. —
 A gdańska złociuchna! a do niej przekąski,
 Kielbasy szyneczki i sławne półgaski!
 Od Jacka smakował nawet żur owsiany,
 Laikom, gdy który był na post skazany.
 I wszyscy serdecznie czcili go, kochali,
 A choć był pokorny, przecie go się bali,
 Lecz nie tak to jego, jak jego Oktawji,
 O której niegrzeczna fama tak nam prawi:
 Że była wszechwładną gospożą klasztoru,
 Bo gdzie przemignęła, tam cisza, pokora,
 I nieraz dopiekła, srodze jak gadzina,
 A była to długa twarda dyscyplina;
Oktawią, dla tego ponoś ją nazwano,
 Że z ośmiu rzemyków była poskładana.
 I ją winowajcy nie tak bardzo czuli,
 Choć nieraz ksiądz Jacek prał nią po koszuli,
 Bo oraz dolewał balsamy pociechy,
 I modlił się także za pacjenta grzechy,
 Że przez łzy błyskały promienie uciechy.

Raz mu organista wypłatał psikusą,
 Bo na czczo w sam odpust uściskał Bachusa,
 A ten organistę tak obalił srogo,
 Że ręką nie ruszył, językiem ni nogą.
 Jacek na organach grywał doskonale,
 Był sławny z gry swojej na klawicymbale.
 Więc na chór pójść musiał. Uderzył w klawisze,
 I zalał kościelną tonów morzem ciszę,
 Zahuczały dudy, jak grom w dali, w chmurach,
 Zagrały klawisze, jak wiatr w ciasnych górach,
 Sam śpiewał jak anioł, co na chmurze stoi,
 I hymnem pokoju zamęt burzy koi,...
 Że ludów gromadę aż do łez poruszył,
 I grzesznik niejeden przed bogiem się skruszył,
 Jak w zorzy kąpane miał twarz i żrenicę,
 Jak gdyby za życia ujrzał boga lice.

Ale kiedy przestał już śpiewać Nowenny,
 I już się zakończył mszy obrzęd solenny,
 Do siebie braciszków czterech wezwał z celi.
 „Po co bracie Jacku?” On mileżał; spojrzeli,
 Spoznali wnet z jego i chodu i miny,
 Że komuś z oktawką sprawi zaręczyny,
 A ona ciekawa, jak zwykle kobieta,
 Raz po raz wymyka się z poły habita,
 Uciekła dopiero w celi organisty...
 On leżał przy łożu cały płomienisty.
 Długo stoją nad nim, wołają, nie słyszy,
 Silnemi piersiami jakby miechem dyszy,
 „Surge frater.” Gdzie tam! Patrzaj, jak mu błogo!
 Patrz jak to ón w prawo w lewo rzuca nogą,
 Jakby dziś był malcem i w ruch wprawiał dudy,
 On marzy o świecie, chciałby ciąć prysiuady.
 Podnosi go Jacek, ale trudna rada,
 Ręka organisty jak drzewo opada,
 Lecz rusza palcami, jak na mszy w kościele,
 Gdy najświętobliwsze wydobywa trele.
 Przytem się tak błogo uśmiechał i miło,
 Jakby o anielskim chórze mu się śniło.
 Ten uśmiech i Jacka surowości rozbrajał,
 Czej bić już nie zechce, będzie tylko łajał!
 Pochylił się „fratrze” huknął mu do ucha,

Ten zrywa się: „W imię ojca, syna, ducha,
 Tfu, tfu, precz, przepadaj, o! wszyscy anieli!
 Szatanie napadasz me nawet i w celi?”
 I basem potężnym psalm zaintonował,
 Ów, co Twardowskiego niegdyś już salwował,
 I chwytą koronki, i oczy przeciera,
 Już pewny wygranej i śmielej potiera,
 Ośłupiał, niewierzy, żegna się i patrzy,
 Wszakże to brat Jacek, za nim człerej fratrzy,
 A w Jacka habicie Oktawki ogonki.
 Więc psalm mu się urwał, wypadły koronki.
 A Jacek Oktawkę nawijał na palce,
 Wzniósł w górę, rzemyczki wiszą jak padalce.
 Organista naprzd już plecy obnażył,
 Nim Jacek tabaczki wielką szczyptę zażył.
 „A kędyś to fratrze na odpuscie bywał?”
 A kędyś to fratrze i komużeś śpiewał?
 A czyżeś zaumarł, może byłeś chory?”
 I Jacek poczyną prawie mu perory;
 A był ón bywalec, jak Paweł wymowny,
 Najlepiej zadawał obroczek duchowny,
 I szczerdnie nim sypał między swych klientów,
 A zbijał w dowodach wszystkich opponentów,
 Choć czasem go który w ambarassy wprawia,
 To wnet wybawiła go wierna Oktawia.
 Więc dzisiaj perorę tnie do organisty,
 A w taki wpadł zapal, żarliwy, strzelisty,
 Że skrzętną oktawką mimo swojej wiedzy,
 Jak ogniem okłada organisty plecy.
 A ten się utula, przykłęka i prawi,
 Że zły mu się nieraz wśród południa stawi,
 Na jakieś bezbożne rzeczy go namawia,
 I nieraz go w straszne ambarasy wprawia,
 Daremna do modłów i postów ucieczka,
 Jedyń ratunek w taki czas wódeczka,
 Gdy łyknie wódeczki, choć tam kusy gada,
 Ja nie nie usłyszę, trudna z wódką rada,
 A djablik to widząc, z wielkim kwitkiem czmycha.
 Dziś święto, dziś odpust!...” Organista wdycha,
 Lecz Jacek perorę tnie, i nie nie słyszy,
 Jak gdyby sam prawił śród północnej ciszy,
 Raz basem zahuknie, to znów cicho gada,
 I głos swój przymila, zdaje się spowiada,
 To synął słów grzotem, jak górska kaskada.
 Umilkł winowajca, czekał kondemnaty
 Końca i liczył sobie swoje baty.
 O! dziwne statuta na tym bożym świecie,
 Że zwykłe perory kończą się na grzbiecicie!
 Że dusza grymasną ma czasem naturę,
 Odpowiada ciało, skórą biją skórę.
 Wróćce organista, na chłostę skazany,
 Sam huknął jak sławne Leżajskie organy,
 Co gromów krociami rozbijają ciszę,
 Jeśli wprawne ręce wpadną w ich klawisze.
 Ksiądz Jacek był sławnym, wprawnym organistą,
 Lecz dziś organ wydał melodję nieczystą,
 Ba! zamiast Hozanna, śpiewa Miserere,
 I łkaniem połyka dźwięki i łzy szczerze.
 Jacek takt rachuje, pięć, dziesięć, trzydzieści,
 „Satis, dość będzie, więcej się niezmieści.”
 A teraz ucząj tej bożą różerczkę,
 Ona ci odzregu złego i wódeczkę.”

Biedny organista po odbyciu kary
Przysiągł na krzyż święty i pociechę wiary,
Że nigdy nie wciągnie wódki do napoju....
I byłby wciąż klasztor doznawał pokoju.
Lecz już przeznaczenie jest w Adama rodzie,
Że musi coś zawsze być mu na przeszłość dzie.
Gdy człowiek się jakoś z ludźmi już okrzęta,
To szatan go jakiś w nową biedę wpląta.

(D. n.)

Rzut oka na tegoczesne wychowanie płci żeńskiej, i na sposoby udoskonalenia onego.

(Dokończenie.)

Samo już silne zwrócenie publicznej uwagi na przedmiot obojętnie dotąd pomijany, stałby się skutecznym bodźcem udoskonalenia dla wszystkich prywatnych zakładów, a baczny dozór wydziału byłby tak dla wychowujących, jak dla wychowanek ciągłą do pracy zachętą. Sumiennie przeto tej formie życzyć można powodzenia, i warto choć pobieżnie zarys jej nakreślić.

Zamiar szkoły. Udoskonalenie wychowania kobiet pod każdym względem, i troskliwe zgromadzenie wszystkiego, co może tej myśli posłużyć.

Dążności ogólne: Zebranie wszelkich możebnych w nauce ułatwień, — użycie najlepszych metod połączone z ćwiczeniami rozwijającymi tak moralne jak fizyczne siły, — szczególne starania zwrócone na obudzenie pojęcia i utwierdzenie zdrowych przekonań, jakoteż na uzdolnienie do pracy; — obznajmienie uczennic ze wszystkimi szczegółami społecznymi i towarzyskimi stosunków, nadania ich umysłowi zbawiennego ze wszech miar kierunku, przy należytem uwzględnieniu domowych i przemysłowych zatrudnień, a obok tego najskromniejsze żądania ze strony zakładu.

Cele: W pierwszym rzędzie religija, z najgorętszą miłością, najczystsze światłem przodkująca na drodze dobrego; dalej wiedza opatrzona jak najwłaściwiej, zasilana wyborowym pokarmem, i wskazująca powołanie kobiety w rodzinie, kraju i ludzkości; sztuka za pośrednictwem talentów pielęgnująca estetyczne uczucie, bez wyrodzenia się w wyłączną cześć dla tego co powabne a pogardzeniem tego, co użyteczne; — wprawa nakoniec do robót ręcznych, — rozległe obznajomienie z gospodarstwem i przemysłowością, obrzydzenie próżniactwa, i skłonność do zachowania przyzwyczajonej oszczędności w każdym położeniu.

Zakrój: Kurs cały, obejmujący ukształcenie zupełne, wiodące przez różne stopnie, (miarkowane według zdolności uczennic) aż po umysłową dojrzałość.

W kursie tym klas pięć; dwa oddziały po dwie klasy pesilkujące sobie nawzajem; oddział drugi powtarzający, na większą atoli miarę nauki pierwszego, z dodaniem przedmiotów dla których uczennice poprzednio były za młode. Tu katechizm z dziejami religii, chronologija, wiadomości

o zacnych ludziach i prawdziwie pięknych charakterach, wybrane z historyj narodowej i dziejów chrześcijaństwa, — jeografia i historia powszechna, treść nauk przyrodzonych, języki obce, przy szczególnem pielęgnowaniu własnego, kaligrafija, rysunek, arytmetyka, — roboty ręczne, — czytania i rozmowy, wszechstronnie kształtujące umysł i serce (z uwagą na to, co nie może być w osobnych dawane godzinach), nauka zachowania zdrowia i pogląd na florę krajową, gimnastyka z tańcem i pływaniem, poezja, muzyka, wypracowania rozmaite, obudzenie uczucia obowiązku, ćwiczenie woli, wreszcie niezłomny zawsze porządek, i przypuszczenie starszych dziewcząt do czynnego udziału w domowych zajęciach.

Klasa oddzielna i najwyższa: Dalszy postęp we wszystkim poprzednim, dzieje ze szczególnem zapatrywaniem się na przyczyny upadku lub wzrostu narodów, baczny pogląd na przeszłość, terażniejszość i przyszłość własnego, pedagogika teoretyczna i praktyczna; literatura, botanika, fizyka; chemija zastosowana do gospodarstwa domowego, wiadomości o najużyteczniejszych odkryciach i zakładach w kraju lub za granicą, znajomość świata i ludzi, utwierdzenie czystej woli przez doświadczenie samodzielnych dążeń, rzut oka na gospodarstwo narodowe i potrzeby czasu, gospodarność i przemysłowość kobieca z wszelką możebną do takowych wprawą, czytania, sprawozdania i wyciągi rozmaite, zapas wiedzy i uzdolnienia na przyszłość, kierunek dany, droga wytknięta dla całego niewieściego zawodu.

Szczególności: nauka więcej pojęciowa i bez zaniedbania tej ostatniej. Wykład podobny jak w szkołach męskich; profesorowie osobni do każdego przedmiotu, z uwagą wszakże, aby dążenia się nie krzyżowały. Po za obrębem wykładowych godzin, powtarzania dla młodszych uczennic przy pomocy starszych, a dla tych znowu przy pomocy mistrzyń czyli guwernantek. Celem ułatwienia postępu w każdej gałęzi nauk, jakoteż odbicia w pamięci jeograficznych i historycznych zarysów, mappy ścienne, ryciny, malowania, tablice, i zbiory wszelkiego rodzaju. Przy domu ogród, a więc i ogrodnictwo praktyczne; niekiedy przechadzki dalekie lub odwiedziny a nawet zajęcia w salach ochrony. Wprawa do przyrządzania sobie samym różnych części ubioru, jakoteż sporządzania i przechowywania spiżarnianych zapasów. Wprowadzenie dorastających już dziewcząt w większe towarzystwo pod opieką dam wydziałowych lub mistrzyń zakładu. Obeznanie każdej z rachunkowością osobistą i domową, czyli nauka miarkowania wydatku wedle przychodu; kolejne utrzymywanie porządku w salach naukowych, dozór nad rzeczami własnymi.

W piątej klasie przypuszczenie do słuchania bądź wszystkich, bądź niektórych odczytów, przychodzących natenczas i dorosłych nawet osób, o ile to dźiać się może bez uszczerbku miejscowych uczennic: ograniczenie wszakże do pewnej miary liczby słuchających, a w klassach niższych

przyjęcie tylko na stały pobyt, lub na cały dzień, dla tem pewniejszego kierowania myślą wychowanków.

Baczny wzgląd na to, aby uczennica z piątej klasy wychodząca, mogła w razie potrzeby czy zapracować na siebie, czy objąć bezpośrednio zarząd rodzinnego domu, czyli też zawrzeć związki, otwierające dla niej nowych powinności koło.

Kształcenie mistrzyń i guwernantek zdolnych w kraju z korzyścią zastępować obce.

Połączenie wszystkich najlepszych sposobów kształcenia i najobfitszych źródeł wiadomości tak, żeby rodzicom nie zostawić żadnego rozsądnego powodu szukania dla dzieci swoich zagranicznej szkoły.

Przy okolicznościach sprzyjających, otworzenie nadto domu pomocniczego na wsi, gdzieby kończące wychowanie córki wiejskich obywateli najdoskonalszą i najrozleglejszą wprawę dla siebie mieć mogły.

Zarząd: Na czele przełożona z dostateczną liczbą podwładnych; rada opiekuńcza złożona z rektora i kilku członków wydziału i kassjer mianowany przez stowarzyszenie do prowadzenia rachunków i przy wielkim napływie uczeni rozdział na domy podrzędne, z utrzymaniem atoli jedności w nauce. Posady z pensją stałą, odwoławalne wszakże dla przełożonej co lat trzy, dla niższych za jej wnioskiem co roku. Plan nauk w każdym kursie rozstrząsany i potwierdzony przez radę opiekuńczą; rachunki przez rektora kontrolowane. Jawność i słuszność, jako dwie osie, na których się działanie obraca.

Stowarzyszenie określa sobie samo statuta; liczba członków nieograniczona; wkładka postanowiona przez pierwszych przystępujących. Do wydziału obierać należy jedynie osoby, których znany charakter daje dostateczną rękojmią, że położonemu w nich zaufaniu ze wszech miar odpowiedzieć będą umiały.

Szkola powstająca przez akcje, co do wewnętrznego urzędowania swego, niemogłaby w niczem odstąpić od powyższych zasad; dążności przeto i cele zostają te same, jak w formie poprzedniej; zakrój, przy niedostateczności funduszków na większe rozmiary, wzięłby głównie trzy ostatnie klasy. Co do zarządu, ten musiałby stać się bezwarunkowo rzeczą zaufania, i przejść prawie zupełnie w ręce przełożonej, gdyby akcjonariusze nie chcieli z pomiędzy siebie mianować opiekuńczego wydziału, i całą rachunkowością sami się zatrudnić.

Taniość tu mniejsza, dla potrzeby spłacenia akcji w oznaczonym czasie. Jeżeli postanowiony jest wydział, tedy on przyjąwszy rachunki, ma obowiązek zaspakajania wydatków zakładu, i prawo pobierania tegoż dochodów. On też wynagradza należące tamże osoby, i sam częściowej wypłaty jako też losowania akcji dopełnia; również wysokość kwoty żądać się mającej za kursa, przez niego naznaczoną zostaje.

W przeciwnym razie, gdy wszystko idzie wprost na przełożoną, gdy akcjonariusze prócz dostarczenia funduszków nie robić nie mają, ona to przed nimi odpowiedzialną jest za wypłatę akcji, a przed publicznością za wszystkie szczególności urządzenia szkoły.

Forma trzecia według życzenia dawców, kształt pierwszy lub drugi z opisanych poprzednio; a gdyby fundusze nie dozwoliły nic innego zrobić, tylko szkoła wyższa uzupełniająca prowadzone gdzie indziej wychowanie; zasady już orzeczone, zamiary, cele i dążności niezmiennie. Kurs nauk dwuletni, dla uniknienia zbytniego natłoku przedmiotów. Przełożństwo bądź czasowe, jak w formie pierwszej, bądź stałe jak namieniono przy formie drugiej. Dozór, częścią wykonywany przez samych założycieli, częścią zwłaszcza co do rachunkowości przez osoby ich własnego wyboru.

Koszta. Zakład największy ze wszystkimi dogodnościami; a więc zbiór książek najpotrzebniejszych, mapy, tablice, drzeworyty, abonament na ważne pisma naukowe i lokal z ogrodem i urządzeniem stosownem; pływalnia, potrzeby gimnastyki, etc. mniej więcej 30, — 36,000 złp. Zakład mniejszy 20, — 24,000 złp.

Szkola wyższa z kursem dwuletnim 16, — 20,000 złp.

Najnowsze dzieła.

Wojna z Kobietą.

(Komedia w 3ch aktach J. Korzeniowskiego.)

Nowa ta komedia naszego tak płodnego pisarza, jak wszystkie inne jego utwory dramatyczne, zajmuje i bawi, czy się ją czyta czy słucha. Zajmuje i bawi wszakże głównie naturalnością i lekkością stylu, w czem Korzeniowski jest arcymistrzem. Szkoda tylko, że ta lekość dialogu przechodzi nieraz u niego i do samego obrazowania, przez co niejeden obraz dramatyczny, który głównie przed innymi odznaczać się po winien obrazistością rysów staje się szkicem ledwie odznaczonym. Widać w szkicu rękę mistrza, a podziwiając tę utalentowaną rękę, mimowolny rozbudza się żal, że niepodobало mu się miasto szkicu wymalować obraz, któryby uderzył całością swoją, rysami swymi silne wzbudził wrażenie, a dzielnym onych wyrazem pozostał w pamięci.

Tę to wadę głównie postrzegliśmy w komedii, o której piszemy. Czyta się lub widzi gładko i miło, ale się w tej chwili prawie zapomina, nie zostawiwszy w umyśle śladu głębszego, nie rzuciwszy tego ziarna, w jakie najpłodniejsze są dzieła dramatyczne większego ukończenia, ziarna dalszych myśli, pojęć i uczuć.

Treść tej komedijki jest następująca:

Wojewodzie, panicz trochę zepsuty światem wielkim, trochę egoista, trochę nawet filozof praktyczny, zapatrujący się na świat ze stanowiska realnego, siedzi na wsi i

czytując gazety nudzi się, i przy gazecie i jak się zdaje przy wszystkiem na świecie. Odwiedza go sąsiad Bukowski, szlachcic niby staroświeckiego kroju, bo chodzi w kapocie, mówi o gospodarstwie, i wierzy w dostatek. Z rozmowy jego z wojewodzielem dowiadujemy się, że dostał odkosza od pani Anieli Teszczyńskiej wdowy, mimo protekcji udzielanej mu przez wojewodzielem. Dowiadujemy się dalej z pół słów i pół rysików, że wojewodzielem sam kochał się i kocha się podobno dotąd w kuzynce swojej, i teraz mści się na niej. Ale za co? Otóż tyle zmiarkować możemy z mgły szkicowej, że się za to rozgniewał, iż Emilia jego miłość rozumiała po prostu, i chciała zaraz iść za niego, a więc wydało się wojewodzielem, że ona tylko dba o jego tytuł i dostatek. Czego właściwie od niej chciał, czyli raczej w jaki sposób miała przyjąć jego staranie się, nie wiemy naprawdę do końca. Emilija jest dobrą kobietą, z sercem, ale zepsuta jakimś arystokratycznymi zachceniami, które ją ciągną do towarzystw wyższych, do francuszczyzny, nie zajmuje się gospodarstwem w swych pięknych dwóch wioskach, mimo których w domu nieład i brak nawet. Dwie wioski, są głównym powabem ciągnącym p. Bukowskiego. Jest tam u niej w domu Michalinka jej kuzyna, jest stary gderacz lokaj Jakób, i jest drugi konkurent młodszy daleko od niej i goły, pan Ignacy. Emilija rozgniewana na wojewodzielem, że jej nasyła Bukowskiego, i jak się zdaje kochając tegoż wojewodzielem, chce już ze złości iść za p. Ignacego, i poszedłszy zań, młodziutkiego męża, przerobić na panicza godnego wyższych towarzystw, wzięwszy go poprzednio pod pantofel. Szczęściem p. Ignacy, uwiadomiony już po połowie od starego Jakoba, że Michalinka ma się ku niemu, podsłuchuje rozmowy teje z Emiliją, i dowiedziawszy się z niej, jakie ona ma o nim zdanie, i jakie plany na przyszłość, cofa się, oświadcza Michalinie i jest od niej przyjęty. Michalina w całej komedii najwydatniej stoi, jest to poczciwe wiejskie, prawdziwie polskie dziecko, poczciwe z kośćmi, a gospodarne i lubie jak przyłipeczka. Jest to jedna z tych postaci, które Korzeniowski jak chce, oddaje po mistrzowsku.

Wojewodzielem tymczasem trwając ciągle w chęciach swej zemsty, by kuzynkę wydać gwałtem za Bukowskiego, bo wie, że ją takim kapotowym mężem najwięcej ukarze, nowy tworzy plan. Jakiś jego znajomy książę pan, przysyła mu na kamerdynera Bartosza, wielkiego łgarza i nie dobrego, jak o nim pisze, ale wykształconego przez swój pobyt w Paryżu, parlującego po francusku i t. d. Wojewodzielem przebiera go i uprzedziwszy poprzednio Emiliją, przyjeżdża do niej z nim, jako z baronem Pawińskim, bogatym panem z Ukrainy. Plan ten nie nowy, zużywany po komedjach francuskich, nie przyzwoity, niegodny lepszego towarzystwa, nieodpowiedni uczuciom wojewodzielem, jest głównem zawiązaniem tej ledziutkiej komedyjki. Niby się udaje, niby się nie udaje, tak jak cały obrazek

jest niby obrazkiem. Niby się podobał pani Emilii, a niby się ona zawsze kocha w wojewodzielem, którego widok zrobił na niej bardzo silne wrażenie. To jeszcze szczęście że autor tej smutnej farsy, odegranej z kuzynką przez wojewodzielem nie wyprowadza szczegółowo na scenę; dowiadujemy się jeno jej o rezultatach w akcie trzecim. W tym akcie ma się odbyć wynikłość tego planu zemsty. Emilia, zaproszona na obiad do wojewodzielem, ma zobaczyć niby barona w liberyi, i by uniknąć wstydu odkrycia takiej mistyfikacji ma wziąć Bukowskiego za męża. Szczęście jej, że Jakob stary zajrzał pierwaj Bartosza, poznał go i szepnął swej pani o tej kombinacji, (jak wszystko na świecie nazywa). Z niemałym nateżeniem Emilia zdobywa się na zimną krew, czując że nie tylko może zniweczyć zamiary złośliwe wojewodzielem, który tymczasem sam nie wie czego chce. Niby się wstydzi haniebnego podstępów swego, niby się gniewa na Emiliją, niby kocha się w niej, i zawsze chce wydać za Bukowskiego. Emilia każe Bartoszewi podać sobie szklanek wody, i wypiwszy bez mieszania się, dziękuje mu jako słuzącemu. Porusza to wojewodzielem, który w poufnej z kuzynką pogadance, po kilku półtrybach niewyraźnych, klęka przed nią, oświadcza i żeni. Wszyscy w końcu zadowoleni, nawet i Bukowski okpiiony przez wojewodzielem, co tenże nazywa kpiącym sposobem, współką z wielkim panem, bo Bukowskiemu wojewodzielem daje zarząd jakiś. Otóż i wszystko. Powtarzamy że rzecz cała opowiedziana gładko i miło; ale sensu moralnego brakuje zupełnie. I niemoże wypłynąć z nienaturalnego i koszlawego zawiązania. Jakoż mniemamy że ta mglistość szkicu jest skutkiem lekkiego zawiązania. Gdyby autor był jaśniejszy chciał wyrobić obrazek, to zawiązanie byłoby mu się okazało nienaturalne i niedostateczne, bo w niczem nieprawdziwe i nieodpowiednie naszemu życiu, i naszym obyczajom. Ale tak w szkicu to się to wydaje jako tako, ledziutkie, gładkie, wydmuchnięte z niczego, do wodewila francuskiego podobniejsze raczej, niżeli do komedyi polskiej.

Rozmaitość.

* **Nekrolog.** Dnia 7. b. m. przeniosła się do wieczności w dobrach rodzinnych Cześnikach w obwodzie Brzeżańskim pod Rohatynem, pani *Kornelia z Chrzanowskich Malczewska*, małżonka pana Stanisława Malczewskiego, tychże dóbr Cześnik teraźniejszego właściciela. O ile strata dotknęła wszystkich, którzy jej bliżsi, lub ją tylko znali, świadczy rozpacz męża, nieutulony żal rodziny, przyjaciół, znajomych i już może nigdy od nikogo nie startożby ubogich. Urodzona w Cześnikach w r. 1804, od dzieciństwa była jako wzór córek wyślawianą. Złączona węzłem małżeńskim, przez długie lata z anielskim poświęceniem wypełniała powołanie swoje około ukochanego męża i domu a niemając dzieci, wszelkie swe macierzyńskie uczucia kobiety przelewała na sieroty. Nadto szczerpłe wolne chwile poświęcała piśmiennictwu ojczystemu, nie szukając z tego publicznie rozgłosnej chluby. Pozostały po niej obok poezji oryginalnych, kilka prze-

kładów Rasya i Kornela, z których mąż jej Zairę, przez znawców ocenianą, drukiem ogłosił zamyśla. Kilka artykułów bezimiennie nadesłanych redakcyi a umieszczonych w Nowinach pochodziły z jej pióra. Pokój jej ceniom!

*** Z Truskawca.** (Wyjątek z listu.) Okolica bardzo piękna i powietrze zdrowe, sposób leczenia racjonalny, z tego jestem zadowolony. Lecz niema czem zapełnić czasu. Każdy z nas siedzi, jak ślimak w skorupie, i narzeka na drugich, że to samo czynią. Wyjawszy na promenadzie w jasnych rękawiczkach i lakierach, kapeluszy z piórami i żabotach przy źródle Marysi od 6 do 9tej rano, i ostentacyi prawdziwie żurnalowej od 6 do 9tej wieczór, niezobaczysz nikogo. Nakłaniawszy się w czasie od 6 do 9. rano, często gęsto, wraca każdy ślimak do swojej skorupy, i z niej wyjawszy czasem odwiedziny popołudniowe podług najsumienniejszych form etykiety, której by nam i Chińczycy pozazdrościli, znowu aż wieczorem wystawia różki. W wieczór szeleszczą jedwabie i koronki; jak polyski słońca po roztopionych lodach migają się uśmiechy; umizgi i komplementa sypią się na targu pod łożenkami.

Jużto trzy ćwierci winy konieczne złożyć potrzeba na administracyę kąpiel. Bo też ani balonów, ani kręgielni, ani dobrego bilardu! Dla dam zaś ani fortepianu, ani obręczy, ani wolanta, ani też miejsca do tego wszystkiego, a co najgorsza, sala tylko na sołenną petycyę, na którą kąpiące się towarzystwo, szanując uszanowanie administracyi dla fatalnie źle wskosowanej posadzki, ledwo dwa razy w tygodniu odważyć się może. Z pozostałej jednej czwartej części grzechu już każdy, bijąc się w piersi na siebie przyjmuje, gdy rozważa, jak trudno umówić przechadzkę do sąsiadującej glorietyki, lub lasku, lub przynajmniej za metę pozamiatanych ścieżek. Dziś zamówiono wszakże obręcz, szpadony; zobaczymy, czy też ten pierwszy środek do wzbudzenia humoru lepszego przełamać zdoła sojusz wybredniów etykietalnych, na utrzymanie nudów *in statu quo* zawarty. Wczora był koncert tyrolski na skrzypcach, drymłach, na pysku i nogach. Co czwartku i niedzieli tańczymy dość wesoło od 8 do 10tej, przy dość lichej muzyce węgierskich Cyganów.

* Do dzisiejszego numeru dla prenumeratorów mój dołączony jest **arkusz wzorów** do robót damskich. Opis damy w numerze następnym.

Przyjechali od dnia 26. do 27. lipca do Lwowa:

PP. Erlacher Edward, ze Stryja. Strzelecki Eugeniusz, z Wyrowa. Wiśniewski Henryk, z Dobrzana.

PP. Pożniak Wilhelm, z Nowotańca. Badeni Władysław hr. ze Suchorowa. Dzierzkowski Adam, ze Sydorowa. Miłński Franciszek, ze Skały. Stadnicki Aleksander, hr. z Krakowa. Zagórski Mieczysław, z Witkowa. Rożejowski Dymitr, z Wiszniowczyka. Wysocki Floryan, z Hrehorowa.

Wyjechali od dnia 26. do 27. lipca ze Lwowa:

PP. Nowacki Jan, do Stryja. Borkowski Seweryn, hr. do Bartatowa. Koziebrodzki Eugeniusz, hr. do Michałówki. Malczewski Julian, do Skwarzawy. Komarnicki Roman, hr. do Złoczowa. Gołuchowski Stanisław, hr. do Krakowa.

PP. Wiszniewski Henryk, do Przemyśla. Wiszniewski Ignacy, do Rzeszowa. Cetner Wojciech, hr. do Podkamienia. Turkuł Feliks, do Popowie. Tarnowski Waleryan, hr. do Stryja.

Lwów 28. lipca. — Na dzisiejszym targu płacono korzec Pszenicy ozimej po 24 złr. 50 kr. do 26 złr. — kr. — Żyta po 16 złr. — kr. do 20 złr. — kr. Jęczmienia po 16 złr. — kr. do 17 złr. 30 kr. Owsa po 17 złr. — kr. do 18 złr. 45 kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 16 złr. — kr. do 17 złr. — kr. — Ziemiaków po 7 złr. — do 8 złr. 30 kr. Sag drzewa bukowego 24 złr. — kr. do — złr. Sosnowego po 18 złr. 30 kr. do — złr. — kr. w. w. Centnar siana 2 złr. 5 kr. do 2 złr. 20 kr. Centnar słomy 1 złr. 12 kr. do 1 złr. 30 kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity 1 złr. 53 kr. m. k.

Kurs telegrafowany z Wiednia 28. b. m. o 2 g. popołud.

Amszterdam	—	Marsylia	—
Augsburg za 100 złr.	125 1/2	Mediolan za 300 lirów	123 1/2
Bukareszt	—	Paryż za 300 franków	147 1/2
Frankfurt za 120 złr. podług	—	Agio duk. ces.	—
24 1/2 stopy	124 3/4	Srebra agio	26
Genua	—	Pożyczka 5% 82 1/2. 4 1/2. 72 1/2.	—
Hamburg za 100 tal. banco.	91.	Pożyczka lit. B.	—
Konstantynopol	—	Akcyje banku	1256.
Liworno	119.	Kolej północna	1665
London za 1 funtsterl.	12. 15.	Obl. ind.	5% —

Dzisiejszy.	Kurs lwowski.	Gotówką	towarem.
Dukat holenderski	złr. 5 kr. 48	złr. 5 kr. 52	—
Dukat cesarski	5 a 51	5 a 58	—
Półimperyal zł. rosyjski	10 a 10	10 a 11.	—
Rubel srebrny rosyjski	1 a 58	1 a 59.	—
Talar pruski	1 a 53	1 a 55.	—
Polski kurant i pięciozłotówka	1 a 26	1 a 27.	—
Galicyskie listy zastawne za 100 złr.	92 a 40	93 a —	—

(121)

Do księgarni **H. W. Kallenbacha** we Lwowie nadeszły następujące nowości literackie j. t.

- Niewiarowski Aleksander.** Laokoon. Szkic obyczajowy, w 8 c. Warszawa 1854 (str. 275) 8 złr.
- Gregorowicz J. K.** Proszaki, Tomek Beznogi. Powieść 3 tomy 1854 (str. 114, 151 i 143) 8 złr.
- Maczyński Józef.** Kraków dawny i teraźniejszy z przeglądem jego okolic. w 12ce duż. z rycinami. Kraków 1854 (str. XXIV. i 236) 4 złr.
- Biernacki J. F.** Dokładny praktyczny Ogrodnik w miesięcznych zatrudnieniach przedstawiony, w 8ce duż. w Wrocławiu 1855 (XIV i 418 str.) 2 tal. 15 gr.
- Korzeniowski Józef.** Wojna z Kobieta. Komedia w 3ch aktach w 8ce. Petersburg 1854 (str. 131.) 1 złr. 30 kr.
- Pol Winc.** Przygody J. P. Benedykta Winnickiego w podróży jego z Krakowa do Nieświeża 1766 roku w 12ce duż. Petersburg 1853 w oprawie ozdobnej. 2 złr.
- Pol Winc.** Senatorska Zgoda. Tradycya szlachecka Jegomość pana Benedykta Winnickiego w 12ce duż. Petersburg 1854 w oprawie ozdobn. 3 złr. 18 kr.
- Libelt Karol.** Estetyka czyli umiennictwo piękno tom II. 2 części, zawiera Piękno natury w 8ce. Petersburg 1854 (str. 352. 225) 10 złr.

Handel Ant. Schicka Wdowy

we Lwowie przy ulicy dykasteryjalnej
otrzymał właśnie świeży transport

Vinaigre aromatique

de Jean Vincent Bully à Paris

na wielkiej wystawie Londyńskiej nagrodą uwieczony, a teraz coraz więcej poszukiwany. Służy jako środek do rozwinięcia i zachowania wdzięku, wzmacnia skórę, dodaje jej naturalnej świeżości i delikatności, uśmierza pieczenie skóry po goleniu. Damom przy toalecie niezbędny, a dla swych własności higienicznych do płukania ust, przy kąpeli, i jako kadzidło bardzo używany i lubiony.

flakonik 1 Złr. 30 kr. m. k.

Najnowsze i najprzyjemniejsze pachnidło:

Essence concentrée de Violette,

(119)

flakonik po 2 Złr. 30 kr. m. k.

(1—3)